

**Spodziewaj się**

**Dobra**



**Spodziewaj się**

**Dobra**

Dariusz

Piórkowski SJ

Wydawnictwo WAM

## Spis treści

Zamiast wstępu: Jak zostałem jezuitą	7
Jak się nie zgubić na duchowym targowisku	12
Nie bój się, zobacz więcej	21
Źródło pragnienia Boga	27
Jestem fanem poganina	33
Dlaczego cisza uzdrawia	36
Czas na modlitwę	42
Marta i Maria, czyli o modlitwie i codziennych obowiązках	48
Potrzeba pustyni	55
Gdyby nie ciało, toby się udało	63
W objęciach przyjemności	72
Czy Jezus się śmiał?	85
Co robić, by się cieszyć?	91
Gospodarz się ociąga	96
Czy wiem, po co żyję?	99

Heretycy mają się dobrze	102
Wątpliwości to nie herezja	105
Wiara czasem boli	110
Nie chcę, bo nie. O sposobach obecności Boga	113
Zgorszenie Bogiem	116
Czy Bóg potrzebuje naszego cierpienia?	126
Horror na jeziorze	132
Dlaczego Bóg się gniewa?	137
Boże, jesteś niesprawiedliwy	144
Gdy Kościół boli	153
Klerykalizm – grzech, do którego trzeba dwojga	164
(Anty)klerykalizm po polsku	171
Wypolerowany krzyż	180
Krzyż się niesie, a nie przestawia	185
Szkoła wdzięczności: Eucharystia	193
Zacznij od Zmartwychwstania	203
Spodziewaj się Dobra	209
Dobrze mieć przyjaciół wśród świętych	213
O celu życia i Franciszku Ksawerym	222
Dlaczego lubię świętego Ignacego Loyolę?	226
Ależ to niebo pełne...	231



## Zamiast wstępu: Jak zostałem jezuitą

Bardzo często mnisi  
są cisi i łysi  
golą sobie czaszki  
i kochają ptaszki.  
Ja nic z tego  
nie rozumiem  
opisuję to  
jak umiem.

To nie ja wymyśliłem sobie tę fraszkę o mnichach. To Andrzej Mleczko, który – jak się okazuje – nie tylko kreśli obrazki, ale lubi też pobawić się słowem. Jakiś czas temu, podczas buszowania w księgarni, natknąłem się na ten wierszyk w jednym z jego albumów. I zebrało mi się na wspominki. Była to doskonała okazja, bo akurat obchodziliśmy Dzień Życia Konsekrowanego, czyli święto zakonów, instytutów świeckich i stowarzyszeń życia apostołskiego. Dzięki tej fraszce przypomniało mi się, jak to sam przymierzałem się do zostania jezuitą.

Ponad dwadzieścia lat temu, niedługo przed maturą, oznajmiłem domownikom, że wybieram się do zakonu, a ściślej mówiąc – do jezuitów. Oczywiście nie z kurtuazyjną wizytą, ale na dobre. Kiedy ogłosiłem tę – jak sądziłem radosną – wieść rodzicom i dziadkom, w kuchni zapadła cisza jak makiem zasiał, przerwana po chwili trzaskiem

szklanki, którą mama upuściła, myjąc naczynia. Zrozumiałem, że nie dla wszystkich była to radosna wieść, ale na pewno zaskoczenie. Dopiero po czasie pomyślałem, że moment na odślonięcie moich życiowych planów, a właściwie zakomunikowanie decyzji bliskim, wybrałem chyba nie najtrafniej. Ale do dzisiaj nie wiem, czy w ogóle istnieje coś takiego jak dogodna pora na takie obwieszczenia: wszak człowiek musi je kiedyś i jakoś z siebie wydusić.

Posypał się grad pytań, który pokornie przyjąłem na siebie: Dlaczego nie na księdza? Po co ci ten zakon? Dziecko, będziesz całe życie dziadował. Kim są ci jezuici? (Sam jeszcze do końca nie wiedziałem). A seminarium ci nie odpowiada? Byłbyś blisko domu, jakaś plebania, samochód. Stara Wieś? (siedziba jezuickiego nowicjatu) A gdzie to jest? Koło Rzeszowa? To prawie na Ukrainie!

Jakby tego było mało, akurat tego dnia Telewizja Polska zajrzała za mury klasztoru kamedułów na krakowskich Bielanych (był tzw. Dzień Otwartych Drzwi). Po „Tele-expressie”, który wspólnie obejrzelśmy, przeor bielańskich braciszków ze spokojem zaczął uchylać rąbka tajemnicy mniszego życia. Wszyscy, łącznie ze mną, słuchaliśmy tego jak wryci, a w oczach moich krewnych z wolna narastało przerażenie.

– Wstajemy o 3.45. Całe dni zachowujemy milczenie. Klasztoru bez nadzwyczajnych powodów nie opuszczamy. Schodzimy się często na wspólne modlitwy. Mieszkamy w osobnych domkach. Mięsa praktycznie nie jemy. Trudnimy się pracą w ogrodzie i w lesie – opowiadał przeor.



Na pytanie dziennikarza, czy to prawda, że mnisi nadal śpią w trumnach, noszą włosiennice i się biczą, przełożony kamedułów roześmiał się, choć przyznał, że wcześniej bywało to w zwyczaju. W tej chwili czara się przelała. Poczulem, że atmosfera z sekundy na sekundę gęstnieje, jakby wszyscy oczekiwali wybuchu tykającej bomby.

Mama zaczęła płakać, a dziadek ją mnie błagać i zaklinać: „Rany boskie, gdzie ty się, chłopcze, pakujesz? Zastanów się jeszcze, rozważ, nie ulegaj młodzieńczemu idealizmowi. My ci tu nie chcemy dyktować, co robić, masz swoje lata, ale słyszałeś właśnie, co ten przeor powiada”.

Nie pomogły moje usilne zapewnienia (choć mówiłem to bardziej na podstawie wiedzy ogólnej niż z autopsji), że u jezuitów jest inaczej, że oni nie śpią w trumnach, nawet w ramach poobiedniej drzemki. Że nie wiodą mniszego życia. Cóż miałem robić, trzeba było gasić pożar. Zaznaczyłem, że jezuita grządkę może i mają, ale z tego, co wyczytałem, wolą raczej dawać nura w biblioteki. Nie siedzą zamknięci w swych celach, bo wszędzie ich pełno. Dopiero co wróciłem z rekolekcji ignacjańskich i jezuita wydal mi się narodem całkiem przyzwoitym. Te wyznania trochę uspokoiły moich bliskich, choć widmo kamedulskiego przeora unosiło się nad naszym domem jeszcze przez dobrych kilka dni.

Zanim do tego wszystkiego doszło, postanowiłem najpierw wybać teren: poszedłem zapytać jednego z jezuitów prowadzących rekolekcje ignacjańskie, co trzeba zrobić,

żeby mnie przyjąto. A ten ni z tego, ni z owego, zaczął mnie przekonywać, że są jeszcze inne zakony: dominikanie, franciszkanie, benedyktyni... Po co się pchać do jezuitów? Zbaraniałem. Myślę sobie: Co ten chłop wygaduje? Ja chcę do jezuitów, a on mnie odsyła do konkurencji? A może coś we mnie zwąchał i próbuje mnie odstręczyć? Więc ja dalej swoje: że podoba mi się historia św. Ignacego Loyoli, a duchowość ignacjańska też niczego sobie. Że czytałem św. Jana od Krzyża, ale jakoś mnie to nie wciągnęło, zbyt skomplikowane. Mówiłem, że kręciłem przez pewien czas z werbistami: marzyły mi się misje zagraniczne, Afryka i te sprawy – ale wystraszyłem się skwaru i moskitów. Myślałem nawet o zakonie kontemplacyjnym. Ten pomysł dość skutecznie wybił mi jednak z głowy katecheta, który stwierdził, że z moim temperamentem długo bym tam miejsca nie zagrzał.

Lektura „Autobiografii” Ignacego i doświadczenie ćwiczeń duchowych poruszyły we mnie jakieś inne struny. Coś mnie w tym człowieku urzekło. Uczył, jak doświadczyć Boga i jak podejmować dobre decyzje; świat postrzegał jako boskie dzieło; cenił to, co ludzkie; był roztropny i przebojowy; nie bał się wyzwień; łatwo się nie poddawał. Najbardziej chyba niepokoiło mnie jego stwierdzenie, że byłby gotów wierzyć w Boga na podstawie własnych doświadczeń, nawet gdyby nie napisano Pisma Świętego. To ci dopiero wyrazisty i stanowczy facet!

Na koniec naszej rozmowy jezuita wręczył mi stosik książek o Ignacym i Towarzystwie Jezusowym. Zapalił się

płomyk nadziei. Zrozumiałem, że te „podchody” to była swoista gra, pierwsza próba.

Część z książek połknąłem jeszcze przed wstąpieniem. Ale tymczasem musiałem rozprawić się z kilkoma stereotypami na temat jezuitów, wyniesionymi ze szkolnej ławy i kościelnych środowisk: jezuita i inkwizycja. Jezuitski makiawelizm i wyrachowanie. Jezuitska kazuistyka, czyli dzielenie włosa na czworo. Jezuitski chłód uczuciowy i racjonalizm („Nie mają serca, tylko rozum”). Jezuitski intelektualizm: świata nie widzą, bo wlepiają oczy w książki. Jezuita – watykańscy szpiegi. A poza tym prześmiewcze „Prowincjałki” Pascala, drwiny Dostojewskiego w „Braciach Karamazow”, jezuita Naphta z „Czarodziejskiej góry”. Nazbierało się tego trochę.

Dzisiaj wiem, że jezuita ma w sobie trochę z mnicha, a trochę ze świeckiego. To taki zakonnik w świecie: bez wygolonej czaszki, habitu i wysokich klasztornych murów. Choć ptaszki chyba lubi. Cała jego troska polega na tym, jak połączyć modlitwę i kontemplację z byciem dla ludzi i siedzeniem niemalże po uszy w tym świecie. Niełatwe to zadanie, ale ciekawe, podobne do pielgrzymiej drogi, jak mawiał św. Ignacy. Nie żałuję, że z własnej woli się w to wpakowałem.

## Jak się nie zgubić na duchowym targowisku

Bóg Biblii ma wiele wspólnego ze światem. Według niej Stwórca nie tylko podtrzymuje wszystko w istnieniu – począwszy od kwantów i gronkowców, na galaktykach i słońcu skończywszy – ale przejmuje się losem tego, co powołał do życia. Do tego stopnia, że chaos zaprowadzony na ziemi przez człowieka skłania Go do nadzwyczajnego działania i posłania na świat swojego Syna.

Jednakże taki Bóg, jak na ironię, jest dla ludzkości gorzką pigułką do przełknięcia. Już autor Psalmów, zważywszy na kruchą kondycję człowieka, nie ukrywa zdziwienia wobec zaangażowania Jahwe: „O Panie, czym jest człowiek, że masz nad nim pieczę, czym syn człowieczy, że Ty o nim myślisz? Człowiek jest podobny do tchnienia wiatru, dni jego jak cień mijają” (Ps 144,3-4).

Wielu greckich filozofów uznałoby koncepcję Opatrzności za coś absurdalnego. Jeśli Bóg w ogóle istnieje, zainteresowany jest przede wszystkim sobą, a nie stworzeniem. Wpatruje się w swój boski umysł, trwając w niezmałomym szczęściu. Dlatego nie ingeruje w sprawy tego świata, gdyż mieszanie się w ludzkie problemy oznaczałoby odwrócenie uwagi od siebie i działanie, co w przypadku Absolutu byłoby oznaką słabości. Jakikolwiek akty, poza wieczną

kontemplacją, sprowadziłyby takiego boga do istoty podrzędnej kategorii. Toteż świat w gruncie rzeczy istnieje od zawsze.

Późniejszą wariacją tego przekonania jest osiemnastowieczny deizm, który wciąż oddziałuje na nasze współczesne myślenie. Kierunek ten nie odrzuca istnienia Najwyższej Istoty. Owszem, uznaje, że Absolut trwa w niedostępnych przestworzach, a nawet – według wszelkich znaków – stworzył świat widzialny, ale po zakończeniu prac oddał go w ręce ludzi i powiedział „Żegnam”. Zredukowanie koncepcji Boga do Wielkiego Architekta wpływa w gruncie rzeczy z przekonania, że „prawdziwa” boskość nie może się za bardzo z nami spoufalać. Jej bliskość przyprawiłaby nas o drzenie. Takie zniżenie, zgodnie ze szlachetnym filozoficznym mniemaniem, nie przystoi nieskończonej Istocie. Nie róbmy sobie żartów, powiedzieliby deiści, cudów nie ma, a ewentualna zażyłość ludzi z Bogiem graniczy z cudem.

Rozumowe wykoncypowanie Wielkiego Budowniczego świata, zwłaszcza w formie oświeceniowej, przy wręcz alergicznym trzymaniu się z dala od Biblii czy innych świętych ksiąg, było również próbą zminimalizowania wpływu religii instytucjonalnych, na czele z chrześcijaństwem. Konsekwentnie: jeśli Bóg, koronując dzieło stworzenia, wycofał się z ludzkiej rzeczywistości, trzeba sobie jakoś radzić. Serce nie sługa, nie tylko w kwestii zakochania. Pragnienie Boga bliskiego drzemie w nas nieustannie, dlatego „tworzymy” sobie Jego obraz na własną modłę.

Jednym z przykładów tej twórczości jest dzisiejsze rozumienie „duchowości”.

Odwiedzając duże miasta, lubię wstąpić do księgarni. Można się tam w miarę szybko zorientować, co rozchodzi się jak świeże bułeczki, rzucając okiem na tytuły bestsellerów. Ich popularność odzwierciedla zainteresowania czytelników. Podczas jednej z wizyt w ogromnej księgarni w Bostonie zatrzymałem się w dziale „Religia i duchowość”. Czegoż tam nie było! Trochę chrześcijaństwa, odrobina islamu, szczypta astrologii, poradniki zen, vademecum jogi, instrukcje tarota, najwymyślniejsze metody samowyzwolenia z przeróżnych kłopotów.

Moją uwagę szczególnie przykuła pozycja zatytułowana „Myśl pozytywnie”. Z ciekawości zajrzałem do wstępu. W końcu – coś złego w pozytywnym myśleniu... Czego się dowiedziałem? Że żyłem dotąd w błogiej nieświadomości. Nawet nie przeczuwałem, że skazany byłem na sukces. Wystarczyło bowiem chcieć więcej pieniędzy, przyjaźni, nowego mieszkania, pracy, i wierzyć, że moje życzenia się spełnią, a wszechświat sam by się o mnie zatroszczył. Zdaniem autorki, jeśli teraz otworzę się na energię uniwersum, w ciągu trzech miesięcy moje marzenia zostaną spełnione. Magiczna moc kosmosu wyjdzie naprzeciw moim potrzebom.

Inny obrazek. Kiedy Dalajlama przybył pewnego razu z wizytą do Niemiec, zaskoczyła mnie ogromna liczba jego entuzjastów. Nie piszę o tym, aby odbierać mu należny szacunek czy krytykować buddyzm. Chodzi mi raczej o przyczyny popularności tej religii w Europie Zachodniej

i w USA, a w jakimś stopniu również w Polsce. Nie pomniejszając autentyczności zaangażowania wielu wyznawców religii niechrześcijańskich, zauważyłem, że propozycja wschodnich religii, potraktowana wybiórczo, doskonale wstrzeliwuje się w gusta zachodnich konsumentów.

Z szerokiej palety dostępnych „duchowych” możliwości wybiera się to, co służy osiągnięciu wewnętrznego pokoju i odprężenia. Relaksacyjno-medytacyjne techniki Wschodu są w tym bardzo pomocne, ale czy o to w nich chodzi? Na półkach księgarskich można znaleźć tak hybrydalne tytuły jak chociażby ten: „Taoistyczne metody uzdrowienia ze szczyptą hinduizmu, buddyzmu, szamanizmu i humanizmu”. Zwłaszcza ostatni ze składników recepty na ludzkie szczęście jest intrygujący... Ta mieszanka, jak podaje wprowadzenie do tej książki, ma być „doskonałym antidotum na depresję, lęk, poczucie straty, samotność, smutek i urazy”.

Wielu ludzi powtarza dzisiaj (sam takich spotkałem), że przestali być religijni, gdyż odkryli w sobie duchowy pierwiastek. Ich zdaniem religia i duchowość nie pokrywają się ze sobą. Religie, zwłaszcza objawiające Boga osobowego, są drakońskie, ponieważ obarczają skomplikowanymi rytuałami i procedurami. Na co to komu? Nadto ich wyznawcy bez przerwy kłócą się, która jest lepsza, i wszczynają konflikty.

Te urojone problemy rozwiązuje nowoczesne rozumienie duchowości. Tzw. pluralistyczna i inkluzywna koncepcja duchowości zakłada, że tak naprawdę istnieje tylko jedno boskie źródło wszystkich religii, do którego każdy ma

nieskrępowany dostęp jak do promieni słońca. W każdym człowieku istnieje „duchowy” pierwiastek przyciągający boskość. Nie potrzeba więc żadnych nadzwyczajnych środków, pośredników, przynależności do instytucji, znaków materialnych. Wobec tego jest wykluczone, by istniała religia, która cieszyłaby się szczególnym uprzywilejowaniem i wyłącznością. Dlatego nie warto kruszyć kopii o to, gdzie boska moc jest bardziej obecna. Bóg rozlewa się równomiernie w całym wszechświecie. Religia już przebrzmiała.

Co więcej, tylko duchowość oparta na ćwiczeniu świadomości może przebudzić w nas „duchowy” rdzeń, gdyż obejmuje ona znacznie więcej niż rytury i zinstytucjonalizowane formy poszukiwania transcendencji. „Duchowość” staje się czymś prywatnym, opartym na osobistym eksperymentowaniu i testowaniu niekonwencjonalnych środków, podczas gdy religia kojarzy się bardziej ze sferą publiczną, angażującą w tradycyjne formy oddawania czci Bogu, i z „nawracaniem”. Zwolennicy tego myślenia twierdzą, że „duchowość” tak naprawdę niczego od nas nie wymaga, w przeciwieństwie do judaizmu, islamu czy chrześcijaństwa, w których Bóg ciągle czegoś od nas chce. Męczy i tak już utrapionego człowieka zamiast przynosić mu ulgę i wytchnienie.

Niektórzy zachwycają się faktem, że pomimo zaniku w Europie instytucjonalnych religii, „duchowość” doznaje rozkwitu. Ten boom można zauważyć zwłaszcza w bogatych społeczeństwach. Podstawowe potrzeby są zaspokojone. Standard życia wysoki. Trzeba jeszcze coś zrobić



z duchem. Jeśli – praktycznie rzecz biorąc – wszystko można kupić, dlaczego spod tej reguły miałyby być wyjęte przeżycia duchowe? Myślenie konsumpcjonistyczne wszystko sprowadza do produktu. Jeśli w supermarkecie mamy tak wielki asortyment, to dlaczego w sferze potrzeb duchowych mielibyśmy ograniczać się do jednej opcji, na dodatek nie zawsze zadowalającej? Czy nie lepiej podejść do sprawy jak do szwedzkiego stołu, przy którym można wybrać, co się komu podoba?

Sęk w tym, że „duchowość” przeciwstawiona religii oferuje tylko chwilowe i kosmetyczne zmiany. Zredukuj stres, pozbadź się depresji, odkryj swój potencjał, unikaj trapiących cię myśli. Coraz więcej ludzi przyswaja „duchową” dietę, która unika dotykania źródeł ludzkich niedomagań. Po co narażać się na nieprzyjemny ból? Celem „duchowości” jest raczej jego uśmierzenie, a z drugiej strony – ucieczka w świat iluzji. Wygląda to jak gaszenie pożaru bez zlokalizowania źródła ognia lub odchudzanie się za pomocą chemicznych preparatów. Tylko w reklamie zrzuca się dziesięć kilogramów w ciągu miesiąca. Czasem być może jest to nawet możliwe, przy czym nikt nie wspomni o fatalnych skutkach konsumpcyjnej magii, które nieraz trzeba znosić przez długie lata.

Żadne substancje i cudowne przepisy nie zastąpią uprawiania sportu i redukcji jedzenia. Podobnie z „duchowością”, która paradoksalnie nie sięga do rzeczywistej genezy problemów, lecz ślizga się po powierzchni, proponując połowiczne rozwiązania i krótkotrwałą ulgę. Religie

monoteistyczne zachęcają do przemiany stylu życia i wskazują na źródła kłopotów wywołujących zmęczenie, samotność, smutek i inne nieprzyjemne uczucia. Co więcej, Bóg osobowy wyciąga rękę do człowieka. I to On dokonuje wewnętrznego uzdrowienia.

Odwołując się do Ewangelii, można powiedzieć, że odstępując od religijnego wymiaru życia w stronę mglistej „duchowości”, człowiek sam siebie czyni Mesjaszem i uzdrowicielem. Zawsze to lepsze niż bycie jedynie pokornym sługą Zbawiciela. Fałszywy „mesjasz” naiwnie sądzi, że źródło życia bije w nim lub w kosmosie. Trzeba tylko użyć odpowiednich narzędzi.

Historia kołem się toczy. Zdziwiająca jest to, z jaką łatwością tworzymy sobie rozmaite substytuty religii, byleby tylko pozostać samodzielnymi i niezależnymi. Bóg chrześcijan rzeczywiście nie pozostawia nas w spokoju. W postaci człowieka zstępuje w sam środek naszego zagubienia. Równocześnie nie pozwala się „kupić” i zastosować jako remedium na wszelkie bolączki. Bóg z nas nie zrezygnował. Dał słowo, że nam pomoże, i je wypełnił. Przynajmniej podarował nam szansę. Jak widać, ciągle wikłamy się w alternatywne sposoby uporządkowania świata i człowieka. Ale czy coś z tego wyjdzie?

Trzeba zapytać, czy aby ów odwrót od tradycyjnych religii, zwłaszcza chrześcijaństwa, nie jest po części spowodowany wypaczeniami w głoszeniu Ewangelii. Czy wszystko należy zrzucić na karb niewiary i ludzkiego błędzenia? Myślę, że Kościoły chrześcijańskie miałyby sobie wiele do

zarzucenia w tym względzie. Jak to się bowiem dzieje, że wielu ludziom wybierającym „duchowość” Chrystus nie kojarzy się z osobą, która zdejmuje z człowieka rozmaite jarzma i wyzwala, lecz z despotą, który pragnie utracić rodzaj ludzki?

Czy Ewangelia przestała być atrakcyjna? Czy misja chrześcijaństwa się zdezaktualizowała? Nie sądzę. Wielu filozofów nowożytnych wypracowało taką, a nie inną wizję Boga, ponieważ doświadczyli niezbyt przykładowego życia chrześcijan lub nadużyć ze strony Kościoła. Nie każdy potrafi oddzielić czyste ziarno Ewangelii od plew, które się z nim mieszają. Na ogół utożsamia się świadectwo życia wierzącego z tym, co głosi wyznawana przez niego religia. Opór wobec instytucjonalnych form religii może mieć różne korzenie, nie wykluczając grzechu. To oczywiste. Ale z pewnością forma podania Ewangelii odgrywa tutaj niebagatelną rolę.

Sądzę, że odrodzenie się „duchowości” zaprasza do przeprowadzenia poważnego rachunku sumienia co do jakości głoszenia i życia Ewangelią przez chrześcijan, duchownych i świeckich, we współczesnym świecie. Podam tylko jeden przykład. U nas w Polsce często zamiast Dobrej Nowiny słyszy się na ambonach pohukiwania, połajanki, narzekanie, lament nad zalewającym nas zewsząd złem czy potępienie tych, którzy przyszli do kościoła. Niedawno w jednej ze szczecińskich świątyń byłem świadkiem, jak to czcigodny kapłan podczas kazania wykladał własne poglądy na temat moralności (twarda to była nauka) których

jednakowoż trudno doszukać się w aktualnym Katechizmie Kościoła. Najwyraźniej nie przeczytał go uważnie.

Jeśli Dobra Nowina nie podnosi na duchu, jeśli wierny nie wychodzi z Mszy świętej podbudowany, lecz opuszcza kościół ze zwieszoną głową, to coś tutaj nie gra. Oczywiście, Ewangelia to nie tylko poklepywanie po ramieniu. Jednakże Chrystus gromił jedynie tych, którzy publicznie sprzeciwiali się Jego nauczaniu i gorszyli małuczkich. Starannie dobierał słowa w zależności od słuchającej go grupy, a w kontakcie indywidualnym był bardzo wyrozumiały i taktowny.

Nie pozostaje nic innego, jak ciągle wracać do źródeł, by odkryć, że Bóg chrześcijan nikomu nie zagraża ani nie chce na siłę wtrącać się w nasze sprawy.

## Nie bój się, zobacz więcej

„Wyjdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiek grzeszny”. [...] Lecz Jezus rzekł do Szymona: „Nie bój się, odtąd ludzi będziesz łowił”.

Łk 5,8.10

To niesamowite, że Jezus grzecznie „zaanektował” łódź Szymona, by zrobić z niej miejsce objawienia. Nie tylko ze względów praktycznych. Tym razem nie na świętej górze Synaj, nie w obłoku i błyskawicach, lecz pośrodku zapachu ryb i klejących się do ciała oślizgłych łusek. Łódź to narzędzie pracy Szymona. Jezioro – miejsce, gdzie apostoł zdobywa środki do życia i rozwija fach. Chrystus wchodzi w codzienność człowieka, w zwyczajność życia, czuje ją zmysłami. Tam, gdzie nam się wydaje, że istnieje tylko praca, trud i zmęczenie, może się niepostrzeżenie wydarzyć coś nieoczekiwanego: objawienie i cud. Możemy usłyszeć słowo, które zmieni myślenie, przestawi życie na nowe tory.

Jest taka duchowa prawidłowość. Słucham tego samego Słowa kolejny raz. Słucham, słucham... I nic. Wydaje mi się ono tak znane, swojskie, że aż nudne. Aż tu nagle pewnego dnia coś pęka. Słowo słyszane dziesiątki razy w końcu do mnie trafia. Przebija się przez jakąś skorupę. Całkiem niedawno uderzył mnie sposób, w jaki prorocy zaczynają swoje

mowy: „Pan skierował do mnie następujące słowo” (Jr 1,4). A potem objawiają, co usłyszeli. Nigdy na to nie zwracałem uwagi, bo sądziłem, że to tylko formalna wstawka. Ale przecież prorok nie mówi: „Pan przemówił do was”, lecz „do mnie”. Bardzo istotne jest owo „do mnie”. Najpierw ja muszę usłyszeć, żeby coś przekazać. Chociaż Jezus często przemawia do tłumów, zwraca się do konkretnego człowieka, nie do jakiejś masy. Przyznam, że bardzo pomaga mi w słuchaniu Słowa uświadomienie sobie, że w każdej Eucharystii i modlitwie Bóg najpierw mnie chce coś powiedzieć. Jestem we wspólnocie, ale pozostaję sobą. Jeśli brakuje mi tego nastawienia, Słowo objawione przechodzi mimo uszu.

Druga uwaga kojarzy mi się mocno z przywołaną Ewangelią. Często patrzymy na świętych tak, jakby byli sportowcami, którzy wyłącznie swoim długotrwałym wysiłkiem osiągnęli doskonałość i dotarli do mety. Nie widzimy albo nie chcemy widzieć ich zmagania, zapominamy, że i oni byli podobni do nas. Takie podejście odstręcza jednak od Jezusa i Ewangelii. I nie jestem pewien, czy pochodzi ono od Ducha Bożego.

Piotr też słuchał tego, co mówi Jezus, chociaż mógł w tym samym czasie płukać sieci. Coś zapewne jednak usłyszał, skoro wypłynął jeszcze raz na połów. W zasadzie to on jest głównym bohaterem tej Ewangelii. Hans Urs von Balthasar, teolog, napisał, że „Piotr jest największym skandalem chrześcijaństwa” – kamieniem potknięcia, zgorznięciem. Dlaczego? W tej Ewangelii aż pięć razy wymienia się imię „Szymon”, ale tylko raz do Szymona dodane jest jego

nowe imię – Piotr. Ewangelista dopisuje je wtedy, gdy Szymon wyznaje Jezusowi, że jest grzesznikiem. To nie przypadek. Szymon, słaby i jeszcze chwiejny człowiek, zostaje nazwany Piotrem – Skałą. Jezus nazywa rybaka z Betsaidy Skałą, chociaż on jest jeszcze galaretką. Ten, który później upada i wypiera się Jezusa, ma umacniać braci w wierze. Ten, który boi się cierpienia i śmierci, ma być tym, który pierwszy powinien oddać życie za Chrystusa.

Po raz pierwszy ta Ewangelia wstrząsnęła mną, gdy byłem w szkole średniej. Dokładnie: w kaplicy pewnego domu rekolekcyjnego. Przed obrazem Jezusa Miłosiernego. W lutym. Po południu. Właśnie wtedy „Pan skierował słowo do mnie”, chociaż wcześniej słyszałem je kilka razy. Dzięki tej Ewangelii spotkałem Chrystusa i siebie samego w zupełnie inny sposób niż dotychczas.

Jezus przychodzi do Piotra w czasie pracy i po doświadczeniu przez rybaka porażki. Kto by się spodziewał... Byłem wtedy w trzeciej klasie technikum budowlanego. W szkole, w której chyba nie czułem się za dobrze. Nigdy nie błyszczałem specjalnie z matematyki, do dziś brak mi wyobraźni przestrzennej, a rysunek odręczny szedł mi jak po grudzie. Po dwóch latach chciałem się stamtąd wynieść. Myślałem, że to strata czasu. Czułem się jak Piotr: pracowałem, pracowałem – i nic tego. Byłem sfrustrowany, miałem poczucie, że strawiłem siły na marne. Co więcej, nie miałem w tamtym czasie zbyt dobrego mniemania o sobie. Dręczyły mnie rozmaite trudności, pewnie też niewiara w siebie, miałem tendencje do izolowania się. Bałem się.

W takiej mniej więcej sytuacji usłyszałem słowa tej Ewangelii. Musiała nadejść właściwa chwila. W swoim życiu pragnąłem czegoś więcej, jednak nie wiedziałem jeszcze czego. Byłem niespokojny. Czegoś szukałem. To chyba jest główny powód, dla którego potem polubiłem św. Augustyna. Pytałem, co dalej. Co mam robić w życiu? Ale na te pytania mogłem znaleźć odpowiedź dopiero wtedy, gdy lepiej odkryłem, kim naprawdę jestem.

Po skończeniu nauczania Jezus sprawia, że Piotr widzi cud. To nie jest sztuczka nastawiona na oczarowanie. Tak obfity połów ryb dałoby się od biedy po ludzku wyjaśnić. Tylko oczy wiary mogły dostrzec coś więcej. Co po obfitym połowie zauważa w sobie Piotr? Tylko swoją grzeszność i lęk, do tego stopnia, że próbuje wyprosić Jezusa z łodzi – z miejsca, gdzie unosi się lekki smrodek ryb i ludzkiego potu. Nie mieści mu się w głowie, by grzeszność można było połączyć z kimś tak świętym. A co widzi w nim Jezus? Dobrego kandydata na współpracownika. Potencjał i możliwości, których Piotr jeszcze nie dostrzega. Zwróćmy uwagę: najpierw jest „Nie bój się”, a potem wizja. Można się poddać lękowi, co często się dzieje, ale można go też przekroczyć – wizją. Łowiłeś ryby, będziesz łowił ludzi.

Co wtedy usłyszałem? Co zobaczyłem, patrząc na twarz i serce miłosiernego Jezusa? Najpierw doszło do zmiany perspektywy patrzenia: nie skupiaj się na swojej grzeszności, brakach i lękach. Jezus nie mówi do Piotra i do każdego z nas: „Nie jesteś grzeszny, to nieprawda. Nie przesadzaj”. Mówi jednak: „Spokojnie, wyluzuj. To, co mówisz, jest



prawdą, ale tylko częściowo. Jesteś kimś więcej niż twoja słabość, grzech i poranienia”. Zapewne Piotr wypowiedział swoje obawy szczerze. Ale Jezus się na tym nie koncentruje. Ważniejsze jest to, czego Piotr jeszcze nie widzi.

Drugi krok: z pracy, dzięki której zarabia się na życie, przejdź do czegoś większego i wspanialszego – pomagania ludziom. Nie znaczy to, że każdy jest wezwany do porzucenia swojej pracy i rodziny. Raczej chodzi o to, by zobaczyć, że życie to nie tylko praca. „Do zwykłego życia musimy coś dodać” – mówi jeden z rozmówców Swietłany Aleksijewicz w książce „Czarnobylska modlitwa”. Także po to, by je zrozumieć. Co więcej, możemy otrzymać coś, czego w żaden sposób nie da się wypracować. Możemy mieć udział w przygodzie, która nie sprowadza się tylko do nieuniknionej konieczności. W życiu liczy się cel, który przekracza to, co konieczne. Jezus jest tym, który poszerza naszą perspektywę spojrzenia na życie, pokazuje coś, co wyduje nam się ponad nasze siły, budzi pragnienia.

Przyznam, że te słowa dokonały we mnie przełomu. Zacząłem inaczej patrzeć na siebie. Nie oznacza to, że skończyły się wszystkie moje problemy, ale obudziły się we mnie inne pragnienia. Przede wszystkim: pogodziłem się z tym, że jestem w takiej szkole, a nie innej. Dostrzegłem nawet w niej wiele plusów. Ale zacząłem pytać sam siebie, czego pragnę oprócz tego, że muszę się uczyć i pracować. To wcale nie takie proste, by odpowiedzieć sobie uczciwie na to pytanie. Oczywiście, nie myślałem jeszcze wtedy o zostaniu księdzem. To było coś bardziej fundamentalnego,

głębszego. Poczułem się przyjęty, pokochany przez Jezusa. Pomyślałem sobie: Nieprawdopodobne, co On we mnie widzi? Rozpoczęła się żmudna droga przyjmowania tego, że w oczach Bożych wypadam inaczej niż we własnych. Ciemności i słabości ciągle napierały, ale równocześnie pojawiało się we mnie coraz więcej światła i radości. Nie wszystko jeszcze widziałem, ale na pewno Jezus wyprowadzał mnie powoli z pewnego zamknięcia.

Pamiętam, że słowa „Nie bój się” dodały mi skrzydeł, zapoczątkowały wyzwolenie, długą i czasem trudną drogę uzdrowienia. Uświadomiłem sobie, że jestem kimś więcej niż to, co czuję, co myślę o sobie. Bóg zawsze daje na wyrost – jeszcze do tego nie dorastamy, a już otrzymujemy. Nie zwraca się do doskonałych. Grzeszność, co dziwne, w oczach Bożych daje się pogodzić z nową misją. Tej grzeszności sami z siebie nie wykorzenimy. I to jest właśnie spojrzenie miłosierdzia. Tak zawsze będzie. Bóg zawsze będzie nas wyprzedzał, także w wieczności.

O czym się wtedy przekonałem? Przede wszystkim o tym, że Bóg może mnie ugodzić swoim Słowem, że ono może do mnie trafić i coś diametralnie zmienić. Od tamtego momentu uważniej słucham Słowa, bo wiem, że ono opisuje także moje życie. I tam znajduję odpowiedzi. Tam znajduję „więcej”.